



HELENA BORASIŃSKA, JADWIGA BORASIŃSKA

Ochotniczka Helena Borasińska, ur. 5 maja 1898 r., Goszczyno Górne, pow. Płock, woj. warszawskie, żona osadnika wojskowego.

Sekcyjna Jadwiga Borasińska, ur. 6 lipca 1925 r., kol. Sutkowszczyzna, pow. Horochów, woj. wołyńskie, córka Heleny; zamieszkiwaliśmy w kol. Sutkowszczyzna. Obecnie w Głównym Zarządzie Pomocniczej Służby Kobiet przy Dowództwie Etapów, 1 komp.

Z chwilą, gdy Sowieci przekroczyli naszą granicę, spodziewaliśmy się wszystkiego, ale tego, co nas spotkało, wcale. 10 lutego 1940 roku spadł ten huragan na nas o godzinie 3.00 w nocy, gdy usłyszeliśmy głosy i stukanie do drzwi.

Tak niespodziewanie i groźnie weszli, rozmowa ich podniesionym tonem zdawała mi się groźna i straszna. Ponieważ było to jeszcze bardzo rano, byliśmy jeszcze wszyscy w łóżkach. Oni weszli z karabinami, pierwsze ich słowa, którymi odezwali się do nas to: – *Wstawaj, sobirajsia!* Tatusia i dwóch braci postawili pod ścianą, przy nich jeden z ostro naładowaną bronią. Inni zaś robili rewizję. Szukali broni i mieli dokładne na pewno wiadomości, gdyż tak nieodstępnie szukali. Widząc, że odpowiedzi tatusia brzmią ciągle przecząco, że żadnej broni nie posiada, wzięli go do innego pokoju, kazali usiąść, wypytywali o coś, o broń, o różne organizacje. Mamusia jest w kuchni, nie może wejść do naszego pokoju ani też do tatusia, chodzi, załamuje ręce, na wpół przytomna, rozpacza strasznie. Mnie i braciszkom kazali się ubierać i pakować rzeczy. Pakując, zauważyliśmy okrutne zachowanie się tego zdrajcy: przystawił tatusiowi rewolwer do czoła. Nie patrząc na to, że nie wpuszczają nas do pokoju tatusia, wbiegliśmy. Złapaliśmy kurczowo rękę okrutnika, zaczęliśmy się szarpać. Ja i najmłodszy mój braciszek płakaliśmy strasznie, gdyż słyszeliśmy słowa, jakie powiedział do tatusia: – *Gowori, bo ubiju.* Popatrzył na nas ze zdumieniem i jeszcze raz przemówił: – *Cztoby nie eti rebiata, ubiłby tiebia.* Kazał tatusiowi wstać i ubierać się, gdyż mieliśmy do dyspozycji



pół godziny. Zaczęli pakować na sanie rzeczy, my jesteśmy prawie ubrani. Zabierają nas do szkoły. Ponieważ była bardzo blisko naszego domu, więc poszliśmy. Szkoła był to punkt zborny. Przywozili tu wszystkie rodziny, a że była tylko jedna sala, więc można [sobie] wyobrazić, jak strasznie duszno i ciasno tam było. Tak siedzieliśmy do godziny 15.00. Zjechali się wszyscy, cała władza, i po chwili narady, uważnie sprawdzając, wszystkie rodziny kolejno wyprowadzają do sań.

Wyczytują nasze nazwisko, sprawdzają, jest nas sześć osób: tatuś, mamusia, trzech braciszków i ja.

Wsiedliśmy, otuliliśmy się ciepło, ruszamy w drogę. Gdzie? Dokąd i po co?

Jedziemy. Mróz ogromny, śnieg zaczął padać ogromnymi płatami. Sanie mknęły po śniegu, domek nasz zostawał coraz dalej, coraz szybciej oddalał się od nas, a raczej my od niego.

O godzinie 20.00 byliśmy na stacji. Każą wyładowywać się do wagonów. Pilnują nas ogromnie. Mały, zimny, z mrozem, tak nieszczęsny wagon, a nas 54 osoby. Na stacji staliśmy 36 godzin. W poniedziałek o 4.00 rano zaczęła maszyna szarpać, gwizdać. Jedziemy.

Podróż była strasznie mozolna, marzliśmy i chorowaliśmy w wagonie. Trwała dwa tygodnie. W czasie podróży otrzymaliśmy trzy razy chleb i zupę.

Przyjechaliśmy do archangielskiej *obłasti*, solwyczegodzki rejon, posiołek Wostoczno. Posiołek był nieduży, położony o 39 km od niedużej stacji Charytonowo. Wąskotorówka dochodziła prawie do miejsca przez nas zamieszkanego. Tu rozpoczęło się to nasze żmudne smutne i bardzo ciężkie życie. W ogromnej dolinie otoczonej dookoła gęstym lasem rozmieszczone były nasze baraki. Sześć długich starych, bardzo opuszczonych baraków to były nasze mieszkania. Każdy był podzielony na dwie części, długość wynosiła 20 metrów. W takiej ogromnej sali mieściło się dziewięć lub dziesięć rodzin, zależało, z ilu osób składały się. Tak że salę mogło zajmować pięćdziesiąt i więcej osób. Sprzętów nie mieliśmy, dlatego też miejsca prawie wystarczało. Później zaś baraki podzielone zostały na małe pokoiki, na klatki. Gorzej było, bo strasznie ciasno, ale wygodniej, bo nie potrzebował się człowiek krępować i kryć, gdyż przedtem na sali był zawsze jakiś Sowiet, zresztą wiara nie była zżyta. Były jednostki, Polacy, przed którymi musieliśmy się kryć jeszcze gorzej jak przed wrogiem. Oprócz naszych baraków były domy o wiele ładniejsze, to były mieszkania, kancelarie i inne, jak koniusznia,

diet-sad [*dietskij sad*], szkoła, stołówka. Domy mieszkalne, jak nasze, tak i ich, były strasznie zanieczyszczone różnym robactwem – pluskwy, karakany człowieka zjadały, środków niszczących to nie było żadnych.

Czystość cała i higiena polegała na czystych podłogach, to wystarczyło. Dalej niech będzie jak bądź.

Trudne to życie było, w tak ciężkich warunkach musieliśmy pracować. Starsi, młodszy – bez różnicy. Dzieci do lat 14 do szkoły, natomiast starsze do lekkiej pracy. A jaka mogła być w lesie lekka praca? Piłowanie drzewa i inne.

Dni robocze rozpoczynały się zależnie od pory roku, latem o godzinie 5.00, zimą zaś – ponieważ dzień krótszy – o 4.00.

Zimą mróz, godzina 4.00 rano, rozpoczyna się ten szary, smutny dzień. Żeby coś dostać w stołówce na śniadanie, trzeba było iść, zająć kolejkę. Stołówkę otwierano o 4.30 – dostać można było zupę jakąś lub kaszę, 400 gramów chleba oprócz wydanej porcji, to znaczy 800 gramów dla *roboczego*, a 400 dla *niroboczego*. Chleba zawsze brakowało, dokupić innym sposobem nam nie można było.

Później godzina 6.00, jeszcze ciemno, słyszy się głośnie dzwony. Na robotę – mróz czy zawieja – musisz iść, bo i tak majster lasu biega, sprawdza, czy wszyscy wyszli. Ile to sprzeczek było przy tym. Człowiek chory, zwolnienia tak ograniczone były, że nie otrzymywali, dlatego też trudno, żeby człowiek chory poszedł do pracy lub [ten, kto] nie ma odpowiedniego ubrania, czy praca, na którą go posyłają, nie odpowiada mu. W takich wypadkach brali człowieka przymusem. Mimo że człowiek pracował uczciwie, a jednak nigdy nie było zadowolenia. Żeby jak najwięcej robili, wskazane normy wyrabiali, zawsze było za mało, bo jeżeli widzieli, że określona norma jest wykonana, na drugi dzień już więcej, już większe normy.

Gdy przyjeżdżały władze NKWD w dzień, chodzili po lesie, mieli swoje takie dziwne podstępny. W czasie swego obchodu przeprowadzali badania, przy tym różne wypadki, zaraz z miejsca aresztują, różne nagany. Po prostu mieli za nic naszego robotnika, a powinien być ceniony za taką pracę, jak pracowali nasi Polacy.

Toteż takie podstępny, takie zachowanie się wobec nas, strasznie odpychało człowieka od pracy i od nich. Mamusia w pierwszych dniach pobytu, dokąd nie znaleźliśmy tego programu

ich prac, gdy pędzili na robotę, więc chodziła. Później zaś my pracowaliśmy wszyscy, to znaczy nas pięcioro. Przecież mamusia miała tyle zajęcia w domu: porządki, reperowanie ubrań, suszenie i inne prace, których miała dość, tak że nieraz i nocami siedziała zajęta. Ja z początku pracowałam przy śniegu to tu, to tu. Później zachorowałam, miałam atak wyrostka robaczkowego. Do szpitala nie mogli mnie odwiedzić, za daleko. Leżałam w domu. Gdy wyzdrowiałam, miałam zwolnienie od ciężkich robót. Siedzieć w domu bezczynnie mi nie dali, zaczęłam pracować w stołówce jako kasjerka. Pracowałam, dokąd nie zachorowałam drugi raz na to samo i też żadnej pomocy. Było to tylko szczęście, że zapalenie miałam nie ropne. Dzień roboczy kończył się o godzinie 17.00, wracali wszyscy. Z pracy przychodzili o wiele później, gdyż chodzili na pracę bardzo daleko, co męczyło bardzo człowieka. Wieczorem po pracy zbierali się potajemnie grupkami, chcąc pocieszyć się chociaż nadzieją. A ile to osób było takich, które koniecznie trzeba było podtrzymywać na duchu: bieda mu dokuczała, dzieci czy żona zmarła, chciał samobójstwo popełnić. Nic, nie można. Czeka cię, człowiecze, praca ogromna. Żyjemy dla swojej kochanej, tak bardzo utęsknionej Ojczyzny. Trzeba było słabszych podtrzymywać na duchu, były jednostki takie, a nawet liczniejsze – dziesiątki – wracali z zebrania, które odbywało się co tygodnia, zawsze na jeden temat: *bolsze robotajtie, Polszy nie budiet* – to były słowa, które były zawsze powtarzane. A że zawsze ze strony Polaków przeczenia i incresowne [?] wtajemniczenia się w politykę były, dlatego też ciągle aresztowania i badania, które odbywały się nocami. Zawsze nocami rewizje, sprawdzanie obecności itd. Często wzywali dzieci i wypytywali o różne informacje. Tak było ze mną, nieraz siedzę w stołówce zajęta czymś nie bądź, przyjeżdżają władze NKWD, więc przychodzą na obiad czy śniadanie do stołówki. Zaczynają zagadywać, żartować, wypytywać. Przywiezie mi nieraz jakiś bądź prezent, wodę kolońską czy coś innego, myślał, że mi tym zaimponuje. Byłam dość bitą na swoją stronę, wiedziałam, że im chodzi bardzo o tatusia i jego współpracowników. Przez różne takie badania denerwowała mnie ta praca, nie chciałam, wolałam pójść do pracy w lesie. Później nie wiem, jakim cudem, dowiedzieli się o tym, że ja piszę pamiętnik. 8 maja 1941 roku w nocy przyszło ich kilku przeprowadzić rewizję. Zabrali mi wszystkie listy, jakie miałam. Szukają dalej. Nie wiedzieliśmy, o co im chodzi. Znaleźli właśnie ten mój pamiętnik, zabrali mnie zaraz do komendantury, ale że to było już nad ranem, więc trzymali mnie tam do rana i zaraz z rana zamknęli do aresztu. Miałam siedzieć trzy doby. Nie siedziałam trzy, tylko jedną, ale to tylko dlatego, że nie było komu zastąpić mnie w stołówce.

Gnębili nas, jak tylko mogli i czym tylko mogli. Praca, warunki, ten klimat – wpędzały ludzi w chorobę. Dużo chorowało starszych, ale większość dzieci. W jednym baraku pojawił się tyfus, więc sami zapobiegaliśmy temu, aby nie stykać się z tymi ludźmi. Dlatego też wypadków śmiertelnych było bardzo dużo na posiołku. Zmarło 58 osób na 115 rodzin. Natomiast później, w czasie podróży naszej na południe, zmarło jeszcze bardzo dużo. Ale dokładnie nie wiem, ile. Z naszej kolonii wyjechało 77 osób, teraz jest 51, czyli 26 osób zmarło. Dwie rodziny z naszej kolonii wymarły – rodzice i dzieci. Jedna składała się z siedmiu osób, druga z sześciu.

Przykre było rozdzielanie rodzin. Dążyli do tego, żeby człowiek podupał na duchu, zdrowiu. Starali się wszelkimi siłami.

Starszych wysyłali na ciężkie prace i daleko. Nie wracali tygodniami.

Trudno wspomnieć, co przeżywaliśmy. Znosiliśmy mroźne i zawiejne zimy, z bardzo ulewnymi deszczami wiosny i słotne jesienie. Ile to dni takich było, że nie wykupiliśmy swojej porcji chleba, bo nie wypłacali miesiącami. Zresztą i tak nie wystarczało pieniędzy, tych, które zarobiliśmy we czworo, trzeba było sprzedawać rzeczy, zamieniać na takie produkty jak kartofle czy mąka. Chociaż bardzo trudno, ale można było coś nie bądź zamieniać.

Korespondencję z pozostałymi w kraju prowadziliśmy, chociaż w bardzo słabym tempie, ale w każdym bądź razie. Otrzymywaliśmy listy, paczki. Listy były przeglądane w komendanturze, tam było bardzo dużo niszczonego, to sama widziałam, inne zaś oddawane. Adresat listu musiał przyjść sam po odbiór listu, przy tym wyjąć z koperty, co tam jest, a nieraz kazali czytać.

Znosiliśmy wszystko cierpliwie z tą nadzieją i myślą, że wkrótce będzie inaczej. I tak rzeczywiście: 15 sierpnia 1941 roku została ogłoszona amnestia. Nie mogli pogodzić się z tym, nie mogli przemówić słów tych „jesteście wolni”, bo przecież ciągle im na myśli były słowa, którymi przekonywali nas przedtem.

24 września 1941 całą rodziną wyruszyliśmy w podróż z myślą tą, że jedziemy do wojska. Tymczasem nie, jeździliśmy jeszcze po różnych kołchozach. Znosiliśmy jeszcze biedę, może nawet gorszą jak na Północy. Tu nawet nie widzieliśmy chleba. Pracować musieliśmy, z tą różnicą, że nie w lesie i nie w śniegu kopanie kanałów. Za wyrobioną normę otrzymywaliśmy 200 gramów jęczmienia. Z tego musieliśmy żyć. W kołchozie mieliśmy [jako mieszkanie] strasznie zapuszczone, stare, rozwalone kibitki. Zimno, głodno.

Tu zachorował braciszek najstarszy na zapalenie płuc. Zresztą on był bardzo słabego zdrowia jeszcze na Północy. Przy tych ciężkich pracach dostał obniżenia żołądka. To życie, jakie mieliśmy, było okropne. Odwieźliśmy go do szpitala. Tatuś z mamusią i braciszek młodszy ode mnie – zabrali ich daleko, o 60 kilometrów od nas do pracy. W domu zostałam z najmłodszym braciszkiem. Tu przeżywaliśmy okropne [chwile], każdy dzień stawał się nam tak beznadziejny, bo któż miał nas pocieszyć. Chodziliśmy co drugi dzień do szpitala. Tatuś zaraz stamtąd wstąpił do wojska. Mamusia nic nie wiedziała o tym, że tatuś w wojsku, wróciła do nas. Tak jakby wyczuła. Przyjechała, na drugi dzień poszliśmy – braciszek i ja – z mamusią do szpitala. Przyszliśmy, zdążyliśmy się z Tolem pożegnać. Boże, 6 lutego 1942 roku smutne niebieskie oczy kochanego braciszka ostatni raz spojrzały na nas. Umarł, biedny.

Na drugi dzień po pogrzebie braciszek jeden i drugi pojechali do tatusia, gdyż otrzymaliśmy wiadomość od niego, że jest w Guzorzach w wojsku. Ja i bracia wstąpiliśmy do szkoły junaków. Ja z mamusią jeszcze miesiąc byliśmy w kołchozie. Nie mogliśmy wyjechać, gdyż mamusia zachorowała. Od tatusia otrzymywałam listy, ciągle pisał nam, abyśmy przyjechały do Guzoru. Trudno nam było wyrwać się z kołchozu, gdyż NKWD w żaden sposób nie chciało nas zwolnić z prac. Ja jeździłam to tu, to tu, starałam się o różne papiery na wyjazd. Najtrudniej było otrzymać zwolnienie i bilet. Do Guzoru przyjechałyśmy 29 marca 1942 i odnalazłyśmy tatusia. Starałyśmy się, składałyśmy podania z prośbą o przyjęcie do wojska. Podania nasze nie zostały odrzucone. 3 kwietnia 1942 roku zostałyśmy przyjęte do szeregów Pomocniczej Służby Kobiet armii polskiej.

Wtedy zostałyśmy szczęśliwe, gdyż przestałyśmy się martwić o wszystko. Cała rodzinka w wojsku, nie trzeba było pracować i męczyć się. Teraz, jeżeli pracujemy tu wszyscy, to z zadowoleniem, gdyż to dla dobra naszych rodaków i dla nas. Jesteśmy już wszyscy w mundurze, dumni z tego. Pracujemy wytrwale, jedynym naszym marzeniem to jest dążenie do kochanej, tak bardzo utęsknionej Matki Ojczyzny, którą jest nasza Najjaśniejsza Rzeczpospolita.